

22.3. Stanisław Oleński, *Grudniowe pożegnanie*.

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY „KONTRASTY” nr 2/76

Ostatnie dwa koncerty grudniowe przypieczętowały zapewne dwudziestoletnie peregrynacje białostockiej Polihymnii w poszukiwaniu własnego kąta. Piszę: „zapewne”, gdyż – mimo ustalonych planów koncertowych i gotowej w zasadzie sali – trwający jeszcze (a piszę to w końcu grudnia 1975) montaż organów noże odwlec ostateczny termin zadomowienia się Filharmonii przy ul. Podleśnej. Z salą Kino-Teatru „Związkowiec” i orkiestra, i melomani rozstają się bez żalu; nie było tam przecież warunków ani do pracy artystycznej na odpowiednim poziomie, ani do odbioru muzyki. Pamiętamy aż nadto dobrze big-beatowe przebitki z kawiarni, niweczące najsubtelniejsze fragmenty wieczorów symfonicznych. Ów nieszczęsny a obligatoryjny w „Związkowcu” kontrapunkt Filharmonia nasza ma już za sobą. Jak brzmi muzyka w nowej sali – melomani już wiedzą; autor, tkwiąc jeszcze (z uwagi na długi cykl produkcyjny miesięcznika) w roku 1975, swymi wrażeniami będzie się mógł się podzielić dopiero za miesiąc. Tak czy inaczej, nowe warunki uprawiania w Białymstoku tzw. muzyki poważnej stwarzają Filharmonii nowe perspektywy, zobowiązują do nowych, twórczych przedsięwzięć repertuarowych i popularyzacyjnych.

Filharmonia zaprezentowała na obu grudniowych koncertach osiem w sumie kompozycji. Tak się złożyło, iż szereg ten został spięty kłamrą muzyki współczesnej; pierwszy koncert (4-5 grudnia) otworzyła *Symfonieta* Sławomira Czarneckiego, wyróżniona na Ogólnopolskim Konkursie Kompozytorskim w Białymstoku, a drugi (11-12 grudnia) zamknęła *Muzyka żałobna* Witolda Lutosławskiego skomponowana w 1958 r. i nagrodzona swego czasu przez UNESCO. Nieprzypadkowo zestawiam te nazwiska. Utwór Czarneckiego, napisany efektownie i z głęboką znajomością współczesnego warsztatu kompozytorskiego, w niejednym szczególe zdradza inspirację osiągnięciami Lutosławskiego, zwłaszcza jego *Koncertu na orkiestrę* i *Gier weneckich*. Artystyczny rodowód młodego warszawskiego kompozytora można by rozszerzyć i o innych polskich twórców lat sześćdziesiątych; nie ulega wszakże wątpliwości, iż mamy tu do czynienia z oryginalnym talentem. *Symfonieta*, która ze względu na traktowanie instrumentów jest raczej rodzajem małego koncertu na orkiestrę (czas trwania – niespełna 10 minut), każdemu zespołowi dostarczyć może satysfakcji i okazji do zademonstrowania umiejętności wykonawczych. Orkiestra PF w Białymstoku pod batutą Romana Zielińskiego dobrze wyszła z tej próby, co cieszy tym bardziej, że miała zaledwie kilka dni na przygotowanie utworu.

Z nieco gorszym rezultatem wyszła natomiast z pojedynku z Lutosławskim. Jerzy Salwarowski, mimo że legitymuje się drugą nagrodą zdobytą na Ogólnopolskim Konkursie Dyrygenckim w Katowicach (pierwszą przyznano znanemu już białostoczanom – Markowi Pijarowskiemu), nie był w stanie wydobyć z orkiestry odpowiedniej skali ekspresji i dynamiki niezbędnej w interpretacji *Muzyki żałobnej*. Nikły rozwój dynamiki w połączeniu z ospałym tempem, nadwątlającym i rozrzedzającym wewnętrzną zwartość i energię materiału motywicznego *Metamorfoz*, nie prowadził w konsekwencji do *Apogeum* – kulminacji utworu; w istocie Lutosławski mógłby tę fazę swej *Muzyki* w interpretacji białostockich artystów nazwać złośliwie... *Perigeum*. Wydaje się, iż przyczyna złego – znowu był za krótki okres prób.

Muzyczny grudzień przyniósł jeszcze dwa dzieła powstałe w naszym stuleciu, lecz jakże odmienne, mimo dzielących je zaledwie czterdziestu lat. Z jednej strony: romantyczny *Koncert skrzypcowy d-moll* Jana Sibeliusa, wykonany z maestrią, wirtuozowskim temperamentem i szczerem, głębokim liryzmem przez skrzypka klasy europejskiej – Tadeusza Gadzinę, z drugiej – klasycyzująca *Suita na orkiestrę smyczkową* Michała Spisaka,

której wykonaniem kwintet orkiestry dowiódł, iż właśnie poprzez ten typ muzyki powinna prowadzić droga do dzieł Lutosławskiego, Bairda, Pendereckiego.

Czas słów kilka poświęcić solistom obu koncertów. Tadeusz Gadzina jest skrzypkiem, co do którego wszelkie pochwały okazać się mogą tylko zbędną formalnością lub... nietaktem. Poza wspaniałą techniką, szlachetnym i bogatym brzmieniem, zniewala on swą muzykalnością. Po wspaniałym, emocjonalnym *par excellence* romantycznym wykonaniu *Koncertu* Sibeliusa urzekł skupioną i ekspresyjnie skondensowaną interpretacją *Grave* z *I Sonaty na skrzypce solo* Jana Sebastiana Bacha (na bis). Pani Elżbieta Szwarc-Dastyk w dwu koncertach fletowych (Jean Marie Leclair'a i Antonio Vivaldiego) zachwycała piękną kantyleną i zwiewną, słowiczą, a raczej – „szczyglą (w *Il Gardellino*) finezją ptasich fioritur. Drugi solista ostatniego roku ubiegłego, białostocki kontrabasista – Ryszard Kukiełka, mimo kilku intonacyjnych potknięć w części pierwszej *Koncertu* Jana Chrzyciela Vanhala (trema?), zademonstrował ogólne dobrą technikę, rozumienie klasycznych norm interpretacji i bardzo ciepły typ kantyleny.

Na koniec ponownie nasuwa się pytanie stawiane w mych relacjach już dwukrotnie: dlaczego zapraszani do Białegostoku wybitni dyrygenci prowadzą po trzy akompaniamenty, miast wypowiedzieć się bardziej twórczo i w sposób pełny? Po Pijarowskim. Michniewskim – do grona „akompaniatorów” dołączył ostatnio również Salwarowski. Nie podejrzewam Filharmonii o celowe „załatwianie” co lepszych dyrygentów; zwracając uwagę na powyższy fakt ciszyłbym się bardziej przemyślanym i efektywniejszym wykorzystywaniem mistrzów batuty zjeżdżających do naszego grodu.

Stanisław Olędzki